

Śmieszna strategiczna autonomia [FELIETON]

Okazuje się, iż granice militarnego wysiłku obrony Europy przez siebie samą, są przede wszystkim granicami społecznymi. Gros Europejczyków zdaje się w ogóle nie przyjmować do wiadomości, iż polityka może prowadzić do wojny, a wojna – także ta najbardziej sprawiedliwa – niesie nieuchronne ofiary – pisze Jan Rokita w nowym felietonie z cyku „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Nie ma chyba w Europie jako tako przytomnego obywatela, do którego nie dotarłaby wieść, iż kraje unijne, rozczarowane postawą Ameryki, będą teraz budować swoją „strategiczną autonomię”. Ów termin, należący do języka dyplomatycznej nowomowy, ukuli chyba doradcy prezydenta Francji, zaś sam Macron upowszechnił go w swoich mowach. Wątpię, by jakikolwiek, nawet bardzo pracowity think-tank, próbował zliczyć pozycje bibliograficzne, napisane na temat doniosłości idei „strategicznej autonomii”. Sam liczę, iż musiałem natknąć się na parę dziesiątków baaardzo poważnych polskich analiz na temat pląg, jakie spadną na nasz kraj, skutkiem jego niewrażliwości na trend „strategicznej autonomii” oraz nadmierną wiarę w Amerykę. Inna sprawa, że większości polskich autorów piszących na ten temat nie sposób traktować poważnie. Bo owe teksty, pełne troski i niepokoju o polski los, pisali z reguły w czasach Trumpa, zaś gdy władzę objął Biden, ich troska i niepokój z dnia na dzień przygasły. Co skłania mnie do brzydkiego przypuszczenia, że owym wybitnym autorom raczej szło o pisanie czegokolwiek przeciw rządowi PiS, aniżeli o jakieś międzynarodowe realia.

Europejskie rządy panicznie boją się, że naturalne skutki każdej wojny, czyli ofiary, mogą sprawić rządowi spore polityczne kłopoty, albo nawet wysadzić je z siodła

W każdym razie, w najbliższy poniedziałek (czyli 15 listopada), jedynym realnym projektem, mającym swe źródło w idei „strategicznej autonomii”, ma się

zająć Rada UE, z udziałem szefów dyplomacji państw unijnych. Cóż to za projekt? Idzie o precedensowe „europejskie siły szybkiej interwencji”, których koncept miałyby zostać zatwierdzone przez Radę Europejską wiosną przyszłego roku, tuż przed francuskimi wyborami prezydenckimi. A że miałyby to wszystko nastąpić pod francuską prezydencją, to Macron miałyby zostać w ten sposób opromieniony chwałą sukcesu francuskiej polityki i pokonać w drugiej turze Zemmoura, albo Le Pen. W ostatnich dniach Bloomberg (a w ślad za nim kilka profesjonalnych portali) odsłonił kluczowe założenia tego sztandarowego francuskiego projektu, który miałyby przesądzić, iż odtąd Unia stanie się „strategicznie autonomiczna”. Pewna rzecz w tym projekcie przykuła moją szczególniejszą uwagę. Ale o niej za moment, najpierw krótko o samym projekcie.

„Europejskie siły” miałyby liczyć pięć tysięcy żołnierzy, czyli tyle co jedna brygada. Widać jak na dłoni, że ma to związek z niedawnym traumatycznym doświadczeniem kabulskim, gdzie w nerwowym momencie ewakuacji wrogów talibów, Niemcy i Francuzi stanęli wobec faktu fatalnego zarządzania strefą lotniska przez Amerykanów. Biden wysłał tam wówczas właśnie amerykańską brygadę do ochrony procesu ewakuacji, podczas gdy Europa nie miała do dyspozycji takich sił, więc

musiała pogodzić się z rolą amerykańskiego klienta. Ku irytacji mediów i samych polityków, niemieckie samoloty, zamiast z uchodźcami, których nie było, powracały wyładowane transportami piwa z afgańskich magazynów Bundeswehry. Pięciotysięczna brygada szybkiego reagowania – to zatem dokładnie takie siły, jakie w operacji kabulskiej umożliwiłyby Unii działanie na własną rękę. Wobec dwóch milionów żołnierzy, jakich ma dziś pod bronią Europa (tę liczbę podaje za włoskim portalem *Analisi Difesa*) to wysiłek wojskowy niezbyt wielki. Może ważniejsze jest to, iż w projekcie przygotowanym na poniedziałkowe obrady Rady UE, zakłada się mechanizm „konstruktywnego wstrzymania się od głosu” przez kraje sceptyczne wobec użycia europejskiej armii, co jest – jak się wydaje – dość rozsądnym pomysłem na łagodne obejście traktatowego wymogu jednomyślności w polityce zagranicznej i obronnej. Rozsądnym, choć oczywiście sprzecznym z traktatami, ale do tego w końcu jesteśmy w Unii już przyzwyczajeni.

*Coraz więcej europejskich
narodów dotkniętych jest tak
głębokim wewnętrznym
pęknięciem, że wojna
zaordynowana przez jedną
połowę, spotka się z
gwałtownym
przeciwdziałaniem
politycznym drugiej*

Jednak to inna rzecz przykuła w tym dokumencie moją uwagę. Otóż każdorazowe użycie owych europejskich sił musiałyby być poprzedzone trojakiemi analizami, bez których – podkreślmy to – rozkaz wymarszu europejskiej brygady

nie mógłby zostać wydany. Po pierwsze – miałyby to być analiza

„odporności państw członkowskich na możliwe straty własne”. Po drugie – analiza „odporności na straty wyrządzone wrogom”. I po trzecie – „odporności na przypadkowe szkody wyrządzone ludności cywilnej”. Co to wszystko znaczy? Ano jasne. Europejskie rządy, znając rozedrgany emocjonalnie stan swoich społeczeństw, a także zaciekleść wewnętrznych konfliktów partyjnych, panicznie boją się, że naturalne skutki każdej wojny, czyli ofiary, mogą sprawić rządowi spore polityczne kłopoty, albo nawet wysadzić je z siodła. Zapewne tacy dawni europejscy teoretycy wojny, jak Clausewitz czy Morghentau, muszą się teraz przewracać w grobach. Żeby bowiem dzisiejsza Europa mogła pójść na jakąkolwiek wojnę, to musi szczegółowo najpierw zbadać nie tylko to, ilu jej własnych żołnierzy może na niej zginąć, bez niezadowolenia ze strony mediów i opinii publicznej. Ale nawet, ilu wrogów będzie wolno na tej wojnie zabić, aby nie wywołać nadmiernego poruszenia uczuciowego wśród samych Europejczyków. I to wszystko trzeba będzie jeszcze zbadać przed wysłaniem jakichkolwiek wojsk i dla każdego z unijnych krajów odrębnie. To ostatnie brzmi zresztą logicznie, skoro wrażliwość humanitarnych i miłujących nawet zwierzęta Niemców czy Polaków jest pewnie większa niż bardziej zaprawionych w wojnach Francuzów czy Hiszpanów.

Okazuje się zatem, iż w dzisiejszym czasie granice militarnego wysiłku obrony Europy przez siebie samą, są przede wszystkim granicami społecznymi. Albowiem po pierwsze – gros Europejczyków zdaje się w ogóle nie przyjmować do wiadomości, iż polityka może prowadzić do wojny, a wojna – także ta najbardziej sprawiedliwa – niesie nieuchronne ofiary. Logicznie jest to wprawdzie sylogizm poprawny, jednak ideologicznie – z gruntu antyeuropejski. Lecz jeszcze ważniejszy jest drugi aspekt owych „społecznych” granic obrony. Coraz więcej europejskich narodów (np. Polacy, Francuzi, Hiszpanie) dotkniętych jest tak głębokim wewnętrznym pęknięciem, że wojna zaordynowana

przez jedną połowę, spotka się z gwałtownym przeciwdziałaniem politycznym drugiej. Pewną tego namiastkę (Bogu dziękować, że tylko namiastkę) mamy właśnie teraz na polskiej wschodniej granicy. Tyle tylko, że te nowe „społeczne” granice, jakie europejska współczesność stawia każdemu użyciu armii, sprawiają, że Macronowska idea „strategicznej autonomii” obraca się w śmieszność. Mając dwa miliony ludzi pod bronią, Europa jest militarnym wasalem Ameryki. I musi nim pozostać, nawet gdyby skokowo wzrosły jej budżety obronne, wyprodukowano setki europejskich bombowców i zaciągnięto w kamasze całe kohorty młodych Europejczyków.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

